

Mój Manifest Artywistyczny MMA

Kiedyś myślałem, że aktywizm wydarza się wyłącznie na ulicy, na manifestacji, na proteście, na blokadzie lokatorskiej, na sali rozpraw, pod drzwiami ministerstwa czy korporacji, w lesie, w zakładzie pracy, w ośrodku strzeżonym dla osób uchodźczych, w schronisku dla zwierząt, przed fermą lisów lub norek, pod komendą policji lub straży granicznej, pod zakładem karnym i w każdym innym miejscu, gdzie dzieje się krzywda i niesprawiedliwość. Że choreografia protestu wydarza się wyłącznie w działaniu. Potem myślałem, że za wszelką cenę trzeba kierować się słowami Martina Luthera Kinga Jr., iż „najbardziej pilnym pytaniem w życiu jest: Co robisz dla innych?”, że inaczej się nie da, że tylko działania bezpośrednie, nic o nas bez nas, że cel uświęca środki, że są granice, których przekroczyć nie można, że ludzie umierają z głodu, z powodu wojen, wskutek bezsensownej przemocy i głupoty chciwych i bogatych, że tak dłużej być nie może, że w końcu trzeba powiedzieć DOŚĆ!

Później dotarło do mnie – podobnie jak w *Chamowie* pisał Miron Białoszewski, iż „w młodości myśli się, że się da wszystko załatwić. Potem okazuje się, że się nie da, i też się żyje” – że nic z tego. Więc gdy stało się dla mnie jasne, że akcje bezpośrednie to głównie – jak mówi ulica – „krew w piach”, że w zasadzie większość ważnych rzeczy o nas jest bez nas, że często środki oddalają nas od celu, zamiast do niego przybliżyć, że większość nieprzekraczalnych granic dawno zostało przekroczonych, że to, czego dłużej już miało nie być, nadal jest i wygląda na to, że jeszcze długo będzie, a w końcu powiedziane DOŚĆ! nie tylko, że niczego nie zakończyło, to jeszcze nikt za bardzo go nie usłyszał, to wtedy mój wewnętrzny system się załamał, a bezpieczniki bezpieczeństwa się przepaliły. Znamienne mi się wydało, że wyraz „bezpieczeństwo” zaczyna się od „bez”.

Ta przykra świadomość braku nadziei zbiegła się z moim osobistym aktywistycznym wypaleniem. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem tylko pogorzeliśko wielkich idei i nadziei. Ta zwęglona nadzieja była najsmutniejsza i najtrudniejsza do objęcia. Potem, po latach,

gdy ostrożnie wracałem do tych wszystkich spalonych miejsc, do ich młodych kłaczy, świeżych pąków i płytkich korzeni, to jakbym wracał do utraconej matki, z miłością, ale zdystansowany. Sztwywny w objęciu, życzliwy, ale chłodny, niezdolny opowiedzieć o swoich tęsknocie i innych ważnych dla mnie uczuciach. A jednak one we mnie były i nadal są.

Wtedy myślałem o słowach Luthera Kinga, ale pytałem: „Co robisz dla siebie?”. Dużo później przeczytałem słowa Tricii Hersey z *The Nap Ministry*, że „Rest Is Resistance” („odpoczynek jest sprzeciwem”). I zrozumiałem, że jest to forma aktywizmu. Że świadome odpuszczanie, dawanie sobie czasu i przestrzeni jest działaniem przeciwko kapitalistycznej kulturze pośpiechu i zysku, przeciwko nadprodukcji, niekończącemu się wzrostowi i (samo)rozwojowi. Co ważne, a co nie dawało mi spokoju, to fakt, że Hersey wypowiedziała te słowa w historycznym kontekście białego (post)kolonializmu i wyzysku czarnych obywateli świata. Odpoczynek był formą sprzeciwu czarnych niewolników wobec białych kolonizatorów. A więc pytałem siebie: czy moja pozycja społeczna i etniczny przywilej nie zmuszają mnie do służby wobec innych, gorzej sytuowanych kulturowo w białym euro-amerykańskim świecie? Ale czy to oznacza, że nie należy mi się odpoczynek? Że choreografia (radykałnego) relaksu zarezerwowana jest wyłącznie dla mniej uprzywilejowanych?

Wypalenie aktywistyczne – cytując tekst piosenki Dżem *List do M.* – to „taka straszna trwoga, ogarnia mnie, przenika mnie”. To trwoga przed utraceniem nadziei na zawsze. Ihar Babkou pisał: „Ruiny w odróżnieniu od lasów nie puszczają korzeni. Wracają jednak na łono przyrody poprzez swój powolny rozpad”. Często myślę o nadziei jako o tych ruinach. Poczesa mnie, że pomimo jej rozpadu wraca na łono przyrody-społeczności, żeby zamknąć cykl i zasilić nowe idee i działania. A przynajmniej mam nadzieję, że tak jest.

Utracona nadzieja i ślad po niej goreją w sercu. Jej strata jest dojmująca. Jest ziejącą otchłanią. Przeżycie tej straty to jedno. Odzyskanie tego, co utracone, to drugie. Żałoba po nadziei może być (nie)skończona.

Tym, co pomogło mi odgrzebać nadzieję ze zgliszczy, pozbierać jej ruiny i złożyć ją na nowo, była sztuka. Nadzieja powoli stawiała się (i staje się nadal) witrażem-kolażem, posklejany obrazem, sztukaterią na popękanej ścianie. Jest jak te kawałki szkła powtykane w cement, zdobiące fasady domów na mazowieckich wsiach. Dla przejezdnych tandetne, dla miejscowych piękne.

I ten moment skupienia się na swojej autorskiej praktyce artystycznej w polu sztuk performatywnych: tańcu, choreografii, teatrze, performansie – wyniknęła bezpośrednio z moich zainteresowań tematami społeczno-politycznymi. Zaczęłem się zastanawiać, że skoro nie działa już u mnie wychodzenie na ulice czy rzucanie się pod koła harwesterów, to jak mogę ten opór przetłumaczyć na sztukę, ruch, ciało, głos, obraz. Chciałem jakoś objąć tę porażkę wypalenia, bo mimo że myślałem o nim właśnie w kategorii porażki, to jednocześnie było ono zacyznem czegoś nowego. Czegoś, czego jeszcze nie potrafiłem nazwać, ale wiedziałem, że jestem na właściwej drodze. Podświadomie czułem, że to jest właśnie ta „szczelina niepewności”, w której „powstaje przestrzeń do działania”, dokładnie tak, jak o nadziei pisze Rebecca Solnit w *Nadziei w mroku*.

Na początku tej drogi nie wyobrażałem sobie, żeby sztuka nie była wyraźnie polityczna, konkretnie społecznie zaangażowana. To wyobrażenie zapewniało mi poczucie sensu i rozgrzeszało mnie moralnie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić swojej sztuki jako dzieła wyłącznie estetycznego, pozbawionego krytycznego oka na otaczającą rzeczywistość. Wszystko, co robiłem, musiało mieć ciężar polityczny i być naładowane społecznymi tematami dotyczącymi wykluczenia, przemocy, ekologii, feminizmu czy antykapitalizmu. Byłem pewny, że to musi wybrzmieć w sztuce jeden do jednego, bez żadnych niuansów ani odcieni. Przekaz musi być jasny i prosty, jak strzał w mordę. Jak akcja bezpośrednia. Towarzyszyło mi przekonanie, że czas dialogu już dawno minął i teraz została tylko terapia szokowa. Czulem, że zbyt długo pobrażałem niesprawiedliwemu systemowi władzy państwowej. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że gdy ludzie (w tym ja) wychodzą do władzy rozmawiać, to goni się ich policyjnymi pałkami i armatkami wodnymi zgodnie z legalnymi procedurami utrzymywania porządku publicznego, ale jeśli lecą kamienie na parlament, to jest to bandytyzm i czyny nielegalne. Dalej uważam, że są sytuacje, w których nie ma już o czym rozmawiać i zostało nam już tylko – cytując Andrzeja Seweryna z internetowego wiralu – „napierdalać”. Potem zaczęło do mnie docierać, że władza nic albo niewiele sobie robi z tych ulicznych gróźb, które krzyczone i dźwigane na transparentach wydają się takie cholernie ważne i ostateczne. Że teraz na pewno coś się musi ruszyć, a zmiana tylko czeka za rogiem, żeby triumfalnie wkroczyć w główny pochód Nowego Lepszego Świata.

Pomyślałem, że mrzonka Innego Możliwego Świata – skoro i tak jest mrzonką i porażką – może bardziej sprawdzi się w czymś, co w społecznym odbiorze często jest rozrywką, niezobowiązującą formą spędzania wolnego czasu, *Pleasure & Leisure*, zabawą. Bo przecież nadal sztuka często postrzegana jest właśnie w taki sposób, jak zabawa, hobby, a na pewno nie poważna praca, którą jest.

Dzisiaj inaczej postrzegam swoją sztukę: dopuszczam w niej niuansy, symbolikę, estetykę. Jednocześnie nadal rozumiem i cenię sztukę radykalnie politycznie bezkompromisową, która bezpośrednio i prostotę przekazu przedkłada ponad odcienie znaczeń i estetyzm. W zaangażowaniu politycznym sztuki interesuje mnie jej niedosłowność i podwójność znaczeń oraz treści ukryte pomiędzy słowami i kontekstami. Nie oznacza to, że brakuje w mojej sztuce dosłownych odniesień i mocnych politycznych akcentów. Lubię tworzyć w sposób, w którym symboliczne warstwy nasiąknięte są politycznymi znaczeniami odkrywanych w procesie przypatrywania się, wsłuchiwania się i wczuwania w dzieło. Dopiero to wnikanie w głąb odkrywa bogactwo znaczeń poprzez powolne doświadczenie dzieła sztuki. Poprzez asystowanie sobie w rozumieniu sztuki i byciu świadkiem tego procesu. Trochę jak z relaksacją: w pełni odpoczywamy dopiero wtedy, gdy świadomie towarzyszymy odpoczynkowi.

Wiem, że skoro ja jestem osobą świadomą politycznie, taka sama jest moja sztuka. Aktualnie wystarczy mi to do tworzenia świadomej politycznie sztuki, która płynie z mojej głowy i z mojego serca. Nie wiem, czy jestem aktywistą artystycznym (artywistą), czy po prostu artystą, który za pomocą swojej sztuki próbuje wpływać na rzeczywistość. Ale jeśli miałbym się nazwać aktywistą, to mój aktywizm zapośredniczony jest przez

sztukę. Można się obrażać na osoby artystyczne, że to żaden aktywizm, ale w końcu komu o tym sądzić? A w ostatecznym planie świata – jak by powiedział komik Masood Boomgaard – nie ma to żadnego znaczenia. Znaczenie ma to, co sztuka robi ze mną i moim myśleniem o świecie. Wierzę, że sztuka ma moc sprawczą. Gdyby nie artystyczne fanziny, graffiti i komiksy polityczne oraz punk rock lat 90., to kto wie, po której stronie barykady byłbym dzisiaj.

Lubię wracać do porażki jako przestrzeni emancypacji i interseksjonalnego pola aktywizmów, w którym krzyżują się działania queerowo-feministyczne wymierzone w przemocowe praktyki kapitalistyczne, neoliberalne i postkolonialne. Tak rozumiana porażka jest częstym elementem mojej praktyki artystycznej. Jej inspiracją jest koncepcja Quentina Crispa przywołana przez Jacka Halberstama w książce *Przedziwna sztuka porażki*, w której Crisp mówi o twórczej możliwości przystosowywania się do mroku w zamian za frustrację związaną z poszukiwaniem światła. Zresztą nie bez powodu Halberstam pisze o „sztuce” porażki jako strategii przetrwania w świecie zdominowanym przez narrację patriarchalno-kapitalistyczną. Mrok Crispa koresponduje z nadzieją Solnit i ze sztuką życia Białoszewskiego, a mottem emancypacyjnej porażki mogą być słowa piosenki Leonarda Cohena *Anthem: There is a crack in everything, that's how the light gets in*, że we wszystkim są szczeliny, bo to właśnie przez nie dostaje się światło.